

Trzymający w napięciu thriller psychologiczny
o kłamstwach, manipulacjach i grze pozorów.

MŁODA WDOWA



SONIA ROSA
FILIA

SONIA ROSA

MŁODA
WDOWA

FILIA

*Jedynym bólem, jaki przeraża mnie w śmierci, jest
to, że można umrzeć nie z miłości.*

Gabriel Garcia Marquez,
Miłość w czasach zarazy

CZĘŚĆ PIERWSZA
DOMINIKA

Poznałam cię na cmentarzu. Gdzie w końcu mogą na siebie wpaść dwie młode wdowy, czyż nie? Zakłętaś, kiedy wypadł ci z ręki znicz. Rozbawiłaś mnie, a w tamtych dniach niewiele mnie bawiło... Wymieniliśmy spojrzenia. Stałaś kilka metrów ode mnie, przy głównej alejce i mimo panującego tego dnia upału miałaś na sobie prostą w kroju czarną sukienkę z długim rękawem, czarne baleriny z kokardkami i równie czarną, lakierowaną torebkę ze złotonymi zdobieniami. Przy tobie ja – w dżinsowych rybaczkach i spranej ciemnoszarej koszulce – poczułam się kompletnie nie na miejscu. Ale przecież moje wdowieństwo zdołało już nieco okrzepnąć, oswoiłam je na tyle, żeby od czasu do czasu wyciągać z szafy coś więcej niż kruczą czerń rozpaczy...

Podniosłaś z ziemi znicz, który jakimś cudem się nie potłukł, zapaliłaś go i postawiłaś na płycie jednego z majestatycznych rodzinnych grobowców ulokowanych w reprezentacyjnej części legnickiego cmentarza. Wyglądał naprawdę dostojnie, jak jeden z tych, w których spoczywają zazwyczaj architekci,

lekarze, radcowie prawni i cała śmietanka towarzyska zaświatów. Poślałaś mi uśmiech. Odpowiedziałam uśmiechem, poczułam z tobą jakąś dziwną, zaskakująco bliską więź.

– Gdyby ktoś mi powiedział, jak to się wszystko skończy... – rzuciłaś, mijając mnie w wąskiej cmentarnej alejce. – Nic tak nie postarza jak bycie młodą wdową.

– Czarny humor o ósmej rano? – skwitowałam z rozbawieniem. – To lubię.

Uśmiechnęłaś się. Miałaś dolki w policzkach i równe, bielutkie zęby. Pamiętam kwiatowy zapach twoich perfum, lekki, ledwo wyczuwalny, a jednak unoszący się wokół ciebie, twoje sięgające kilka centymetrów za ramiona jasne włosy rozwiewane przez ciepły, czerwcowy wiaterek i wiszące kolczyki z czarnymi koralikami. Te kolczyki kompletnie mnie rozczuliły. Ja nie miałam głowy do tego typu detali, ale ty sprawiałaś wrażenie kogoś, kto w pewien sposób docenia mroczną, cmentarną scenografię. Nawet z wdowieństwa wydobyłaś to, co najestetyczniejsze. Nigdy nie byłam taką kobietą, pomyślałam. Elegancja nie szła w parze z moim bólem, ale być może ty cierpiełaś inaczej, na swój sposób.

– Jestem Marta – powiedziałaś, przystanęwszy obok grobu, w którym spoczywał mój mąż Artur.

Kiedy poruszałaś głowę, czarne szkietka w twoich kolczykach połyskiwały w porannym słońcu.

– Dominika – przedstawiłam się. – Również młoda wdowa.

– Zapalisz? – zapytałaś.

– Tutaj? – Parsknęłam śmiechem.

– Czemu nie? Możemy się ukryć za jednym z tamtych grobowców. – Uśmiechnęłaś się, wskazując dłonią na sąsiednią alejkę.

Dawno nie paliłam. Rzuciłam po śmierci Artura, bo papierosy przestały mi smakować wypalane w pojedynkę. Teraz nagle zatęskniłam za tym przyjemnym, choć ulotnym zawrotem głowy i zapachem tytoniu we włosach.

Schowaliśmy się, jak zasugerowałaś. Dostownie przyczaiłyśmy się w wąskim przejściu pomiędzy grobami, oparte o kamienną ścianę jednego z nich.

*– Trzeba tylko uważać na ciecia – powiedziałaś, wydmuchując dym. – Strasznie konserwatywny dzia-
ders... Za palenie tutaj pewnie by nas ukamienio-
wał. – Zaśmiałaś się pogardliwie.*

*Zaciągnęłam się dymem, łapczywie wpompowa-
łam do płuc rakotwórcze toksyny. Nie martwiłam się
o zdrowie. Przecież ja i tak już nie żyłam, chociaż
moje serce wciąż biło. Odeszłam razem z nim, dziś
jestem tylko pustą skorupą, ciałem, w którym nie ma*

*duszy. To już prawie trzy lata od dnia, w którym moje życie roztrzaskało się w drobny mak... Trzy lata, od-
kąd odszedł bez pożegnania, bez planu... Bo przecież
nie planował tego wypadku, w najgorszych koszma-
rach nie wyśniłby swojego dramatycznego końca... Tak
bardzo za nim tęsknię. Mam wrażenie, że moje serce
ściska stalowa obręcz bólu. Byłeś dla mnie wszystkim
i nadal jesteś, kochanie. Byłeś sensem wszystkiego, dziś
życie po prostu przecieka mi przez palce – pomyśla-
łam, stojąc z żarzącym się pomiędzy palcami papie-
rosem. Zawsze lubiłeś, kiedy paliłam. Mówiłeś, że to
seksowne. Byliśmy młodzi, wizje raka czy śmierci były
dla nas odleglejsze niż odległe galaktyki. Graliśmy ko-
stusze na nosie, strzepując popiół z nadpalonych pe-
tów, śmiałyśmy się jej prosto w twarz.*

*– Jak miał na imię? – zapytałaś po dłuższej chwili
ciszy. – Twój mąż – dodałaś, chociaż przecież świetnie
wiedziałam, o kogo pytasz.*

– Artur – powiedziałam. – A twój?

– Bernard.

– Oryginalnie.

*– O tak, kawał oryginała z niego był. – Zaśmia-
łaś się perliście, ale zaraz później w twoich błękitnych
oczach błysnęły łzy. – Przepraszam – szepnęłaś, stara-
jąc się je opanować.*

*Wyciągnęłam rękę i zacisnęłam palce na twojej
drobnej, szczupłej dłoni, chcąc dodać ci otuchy, dać do*

zrozumienia, że świetnie wiem, co czujesz. Ta kapryśna zmienność nastrojów była mi przecież doskonale znana – odkąd odszedł Artur, często balansowałam gdzieś pomiędzy śmiechem a łzami, jakby młodość i pragnąca dojść do słowa radość życia toczyły we mnie walkę z ponurym i nieodwracalnym majestatem śmierci.

– Nie mieliśmy nawet trzydziestki, kiedy los odebrał nam wszystko. Dwa lata, pięć miesięcy i siedem dni po ślubie – powiedziałam cicho i otarłam spływającą po policzku pojedynczą łzę. – Planowaliśmy się razem zestarzeć, ale starzeję się tylko ja... Każdy dzień bez niego sprawia, że czuję się coraz bardziej zgarbiona, samotna i chora, chociaż fizycznie nic mi nie dolega. Nie licząc migren.

– Migreny... Jak dobrze je znam – powiedziałaś, zanim wgniotłaś niedopalek w kamienną ścieżkę pomiędzy grobowcami.

Nie schyliłaś się jednak, żeby go podnieść, więc dogasiłam swojego peta, podniosłam oba niedopałki i cisnęłam je do pobliskiego kosza.

– Trzeba było zostawić – mruknęłaś. – Ciec musi mieć zajęcie.

– Gość chyba ci mocno zalażł za skórę?

– Nie lubię typu, masz mnie. Kręci się tu non stop, gapi... Jest w jego spojrzeniu coś... Sama nie wiem: gadziego?

– Gadziego? – zdziwiłam się.

– Jest oslizgły – wyjaśniłaś.

Z cmentarza wyszliśmy razem. Zazwyczaj samotnie mijalam maszyną kutą bramę, wtedy jednak miałam towarzystwo i wydawało mi się to krzepiące.

– Miałabyś ochotę wybrać się kiedyś na kawę? – zapytałaś, kiedy przystanęliśmy przy twoim samochodzie.

Terenowa mazda CX-5 w kolorze dojrziałych malin idealnie pasowała do ciebie i twojej elegancji, choć jednocześnie nie pasowała do twojego wdowieństwa. Była zbyt krzykliwa, intensywna, pulsująca radością życia. Ale przecież nikt nie zmienia samochodu tylko dlatego, że niespodziewanie zawalił mu się świat...

– Wiem, zbyt czerwona – powiedziałaś, jakbyś czytała mi w myślach. – Matka Bernarda twierdzi, że powinnam ją sprzedać. Może właśnie dlatego jeszcze tego nie zrobiłam – parsknęłaś drwiąco.

– Nie dogadujecie się?

– A można się dogadać z kobłą? – odpowiedziałaś pytaniem. – Muszę jechać. Zapisz sobie mój numer – poprosiłaś.

Wyjęłam z torebki komórkę, a ty podyktowałaś mi namiary na siebie.

– Nie wiem czemu, ale czuję, że po prostu miałyśmy się dziś spotkać – powiedziałaś, kiedy wysłałam ci sygnał, żebyś również mogła się ze mną skontaktować.

Później, spontanicznie, pocałowałaś mnie w policzek. W tamtej chwili zdałam sobie sprawę, jak bardzo byłam ostatnio samotna. Po odejściu Artura odciąłam się od naszych wspólnych znajomych, zresztą część osób również mnie unikała. Wdowieństwo przeraża, niektórzy wręcz boją się mojego widoku, zwłaszcza inne kobiety. Starłam się to zrozumieć, nikomu się nie narzucałam. Nosilałam ten ból głęboko ukryty w sobie, opancerzyłam się.

I nagle spotkałam ciebie.

– Pa! – powiedziałaś, zanim wsiadłaś do swojego malinowego cacka na czterech kołach.

„Pa” – jakbyśmy się znały od lat.

Uśmiechnęłam się i pomachałam ci na pożegnanie. Było w tobie coś promiennego, mimo bólu, którego niewątpliwie doświadczyłaś. Przyglądając się, jak wycofujesz i wyjeżdżasz na ulicę, zastanawiałam się, co się przytrafiło twojemu mężowi, ile miał lat i jak długo jesteś wdową. Obstawiałam przedział czasowy pomiędzy dwoma a czterema latami – na moje oko wyszłaś już z pierwszego szoku i największej rozpacz, ale nadal coś ciągnęło cię na jego grób, nawet w tak piękny, czerwcowy dzień. Byłaś mną, a ja byłam tobą. Po raz pierwszy od śmierci Artura poznałam kogoś, kto przeżył to samo co ja. Byłyśmy dla siebie lustrzanym odbiciem i myśl o tym sprawiła, że poczułam się niemal euforycznie. Nie byłam już sama.

Odezwałaś się do mnie jeszcze tego samego dnia, zaprosiłaś mnie na drinka. Dawno nie piłam alkoholu, ale czemu nie? Odpisałam, że nie mogę się doczekać. Odpowiedziałaś serduszkciem. Odnalazłam zaginioną siostrę. Od tamtej pory przez jakiś czas właśnie tak o tobie myślałam. Siostra. Nie wiedziałam tylko, że ten słoneczny czerwcowy poranek otworzył wrota do prawdziwego koszmaru. Wtedy nie miałam jeszcze pojęcia, co nas czeka...

1

Znamy się dopiero od miesiąca, ale każde spotkanie zbliża nas do siebie coraz bardziej, elektryzuje. Moje życie powoli nabiera sensu, obecność Marty dodaje mi energii i chęci do działania. Przez ostatnie trzy lata każdy poranek był zacieklą walką staczaną z otępieniem, jakie ogarnęło mnie po odejściu męża. Zmuszałam się, żeby wstać, wziąć prysznic i usiąść do pracy, zmuszałam mózg do myślenia, a ciało do posłuszeństwa, ale teraz jest inaczej. Marta sprawiła, że mój poszarzały świat powoli odzyskuje barwy.

Jest środek lipca, duszny, upalny dzień. Siedzimy na werandzie letniego domku w Grzybianach, który jej mąż kupił podobno dwa miesiące przed swoją śmiercią, i sączymy lemoniadę, w której pływają listki mięty. Nad moją głową krąży wyjątkowo natarczywa osa, którą Marta odgania niecierpliwym ruchem dłoni.

– Poszła! – fuka.

Moja nowa przyjaciółka ma na sobie jasnoróżową sukienkę z dekoltem, zawiązywaną na szyi, jej szczupłe, opalone plecy są odsłonięte. Platynowe

włosy spięła w luźny koczek nad karkiem, w jej uszach widzę złote motylki, na stopach ma klapki na niewysokim obcasie, dokładnie takie, jakie kilka dni temu widziałam w witrynie ulubionego sklepu obuwniczego w centrum Legnicy. Jej wygląd totalnie odbiega od tego cmentarnego, z dnia, w którym się poznałyśmy, ale siedzimy przecież w letnim domku, tu nie musimy nosić czerni. Tę zakłada się bardziej dla ludzi niż siebie. Ja nie muszę się nią oblekać, żeby pamiętać o żałobie, i zakładam, że Marta również. Zresztą w moim przypadku minęło już kilka lat, czerń powoli odsuwam w głąb szafy, od nowa oswajając inne kolory i co rano zbierając się na odwagę, żeby je włożyć i pokazać się w nich światu.

– Zaczynam tęsknić za czerwienią – mówię, a Marta opęda się od osy i dolewa sobie lemoniady. – Za fuksją, soczystą zielenią, szafirem, nawet żółcią – wymieniam ulubione barwy.

– Turkus. Zawsze najbardziej kochałam turkus. – Uśmiecha się.

– Pasuje ci. Do twoich jasnych oczu i platynowych włosów jest idealny.

– Ty natomiast jesteś stworzona do czerwieni. Z twoją hiszpańską urodą musisz w niej wyglądać oszałamiająco – Marta przez dłuższą chwilę mi się przygląda. – Nie myślałaś o tym, żeby zapuścić

włosy? – pyta. – Bob jest nadal modny, ale te twoje grube, lśniące pukle aż się proszą, żeby ciemną kaszkadą opasać na plecy.

– Jak poetycko to ujęłaś. – Uśmiecham się. – Artur kochał moje włosy. Obciął je tuż po jego pogrzebie, nie potrafiłam...

– Wybacz, nie chciałam rozdrapywać ran – Marta gładzi moją dłoń, spogląda mi w oczy i szeroko się uśmiecha. – Tylko się nie śmiej – prosi.

– Z czego? – dziwię się.

– Mam ochotę popływać – mówi. – Nago!

– Co? – Parskam. – Mówisz poważnie?

– A czemu nie? – Wzrusza ramionami. – Spójrz, jaki idealny dzień. Nikt nam go nie zwróci, żyjmy chwilą.

– Nie wiem... – waham się, zaskoczona jej nieco infantylnym pomysłem. – Nie jestem fanką rozbierania się w miejscach publicznych.

– To prywatna posesja i jesteśmy tu same. – Marta wstaje z wiklinowego krzesła, przeciąga się i rozwiązuje zawiązany na kokardę supeł na karku, po czym ściąga sukienkę.

Nie ma stanika, biel skóry na jej drobnych pierśsiach odcina się od mocnej opalenizny wyłoczonego słońcem dekoltu, majtki nosi czerwone, koronkowe. Ma płaski brzuch, ładne, szczupłe nogi i niewielką pobladłą bliznę na lewym kolanie.

Poznały się na legnickim cmentarzu – dwie młode wdowy. Przypadkowa znajomość szybko zamieniła się w przyjaźń, jednak z czasem Dominika zaczęła przylapywać nową koleżankę na niedomówieniach i półprawdach. Kim naprawdę jest Marta, której mąż, Bernard, został zamordowany w wyjątkowo przerażających okolicznościach?

Marta niechętnie o sobie mówi, a za jej pozorną otwartością skrywa się wiele sekretów. Pomiedzy przyjaciółkami dochodzi do pierwszych nieporozumień, aż w końcu Marta nagle przestaje się do Dominiki odzywać. Urażona i odrzucona Dominika usiłuje nawiązać kontakt, ale kiedy milczenie przyjaciółki się przedłuża, odpuszcza.

Jednak kilka miesięcy później dzieje się coś, co sprawia, że Dominika ponownie interesuje się Martą. Martą, która okazała się być kimś zupełnie innym, niż zapewniała. Kim jest poznana na cmentarzu młoda wdowa? I czy przypadkowa znajomość zawarta w letni słoneczny poranek może okazać się niebezpieczna? Kłamstwa, manipulacje i gra pozorów – wkrótce jedna z przyjaciółek będzie musiała stoczyć walkę o własne życie. Czy wyjdzie z niej zwycięsko?

FILIA
Mroczna

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-247-4



9 788384 022474